

Paluszki rybne

Moby Dick, czyli koniec demokracji, reż. Maciej Podstawny, Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego w Wałbrzychu



HENRYK MAZURKIEWICZ

Doktor nauk humanistycznych, krytyk teatralny, członek redakcji portalu „Teatralny.pl”. Pisze dla

A A A



Umieścić paluszki rybne na plakacie spektaklu pt. *Moby Dick* – oto cały Teatr Dramatyczny w Wałbrzychu z ostatnich lat. Rzadko która ze scen z taką konsekwencją – i co ważne, powodzeniem – realizuje podobne poważnie niepoważne czy na odwrót – niepoważnie poważne podejście do formy i treści. Trudno mi w tej chwili przypomnieć sobie przedsięwzięcie zespołu, które od początku do końca miałoby skupioną, chmurną i zatroskaną minę. Kiedy nikt nie mruga porozumiewawczo do widzów, nie wyciąga, szeleszcząc dowcipem, małego cukierka-prześmiewka, nie zamyka chociaż jednego zdania w

nawiasie autoironii.

Wcale to nie oznacza, że teatr wyspecjalizował się w komediach, farsach i innych rozrywkowych formach. Właśnie że żadnej stuprocentowej komedii, farsy czy innej formy rozrywkowej też sobie nie przypominam. Jeżeli już, to projekt *Wielcy inni*. Lecz to prawie że klasyczny *stand-up*, który sprytnie umyka zbyt łatwemu zasufladkowaniu. I co z tego, że podczas monologu Włodzimierza Dyły ledwie duszy z siebie nie wyrechotałem. Wszystko tam, jak i w wielu innych wypadkach, podszyte jest wieloznacznością, kontekstami i niuansami. Tak samo niedawna *Sztuka*, zrealizowana w ramach Wolnych Scen Inicjatyw Aktorskich, tylko w pierwszej połowie udaje farsę. W drugiej zaś zdecydowanie skręca w stronę porządnej psychologii, serwując widzom oryginalne studium niezbyt oczywistych mechanizmów męsko-męskiej przyjaźni.

Moby Dick jest spektaklem bardzo wałbrzyskim jeszcze z kilku powodów. Reżyserią i opracowaniem tekstu zajął się dyrektor artystyczny teatru Maciej Podstawny. Za scenografię, kostiumy i światło odpowiadał Mirek Kaczmarek, który już współpracował z reżyserem przy *Piosenkach na koniec świata*, a ponadto stworzył zapadającą w pamięć scenografię do *Być jak dr Strangelove*, czyli *jak przestałem się bać i pokochałem mundur* Marcina Libera. Za warstwę wideo tradycyjnie odpowiadał Amadeusz Nosal, o czym tradycyjnie napiszę poniżej słów kilka.

Tymczasem wracamy do nawiasów, pomrukiwania i kontekstów. *Moby Dick* ma charakterystyczny pod tym względem podtytuł – *koniec demokracji w państwie wielorybów*. Co więcej, piętrząc poziomy i metapoziomy narracyjne, grożący wielorybiej demokracji białą kaszalot (w żadnej z możliwych teatralnych postaci) na scenie się nie pojawia. W ten sposób alegoryczność *Moby Dicka* Melville'a, któremu przecież też nie o same surowe realia wielorybniczego rzemiosła chodziło, zostaje podniesiona do potęgi. Czym w zasadzie jest owa tajemnicza i legendarna bestia, której z szaleńczym zapalem szuka wśród mórz i oceanów kapitan Ahab, a wraz z nim, chcąc nie chcąc, cała barwna załoga? Czyżby im wszystkim nie przysnił się ten sam absurdalny, surrealistyczny sen? Czy w ogóle gdziekolwiek wypłynęli?

Już sama scenografia Kaczmarka zaprasza do żonglowania podobnymi pytaniami. Wszyscy bohaterowie spektaklu są, jak się to mówi, ludźmi morza. Ich żywiołem jest woda – niekończąca się przestrzeń, ocean, ku któremu płynie każda rzeka i który łączy najodleglejsze porty. Jednak jedyną wodę na scenie znajdziemy, o ile znajdziemy, w filiżankach podawanej na statku herbaty. Pod nogami bohaterów piasek i tylko piasek. Sam zaś statek niekiedy kurczy się do gumowej szalupy wypełnionej zupełnie innym żywiołem – powietrzem. Statkiem jest w zasadzie cała przestrzeń gry. Zarówno znajdujący się z tyłu metalowy pomost i zwisające z sufitu drabiny sznurowe, nazywane fachowo szstormtrapami, jak i stojący z przodu zwykły czarny drewniany stół z krzesłami oraz pianino. Co charakterystyczne, „statek” ten nie ma ani dzioba, ani rufy, ani burt. Nawet kotwicy nie ma. Za to ma na „pokładzie” błyszczący białą, gargantuiczny kawał kręgosłupa z żebrami. Pozostałości po wielorybie? Po *Moby Dicku*? Po co w takim razie wypłynął statek „Pequod” i kiedy? W jakiej rzeczywistości czasowej? Być może to, co widzimy, to swoista wersja wielorybniczego piekła czy czyścica – bez wody, nadziei i kierunku.

Nie wiadomo bowiem, co jest busołą na tym statku. Nienawiść i żąda zemsty kapitana? Pragnienie przygody? Być może pogoń za dostojną starością, którą może zagwarantować wypełniona po brzegi ładownia statku? W spektaklu wszystko balansuje na pograniczu snu i jawy, marzeń i skojarzeń, groteski i absurdu. Dla przykładu grający Ahaba Rafał Kossowski, daleki swym wyglądem i charakterem od obrazka, który maluje nam wyobraźnia na myśl o doświadczonym i bezwzględnym kapitanie, zamiast utraconej w walce ze swoim zaklętym wrogiem nogi dostaje jej olbrzymią, gumową namiastkę. Kiedy z trudem przemieszcza się wśród swoich podwładnych, wygląda jak postać z kreskówki. Jak gdyby wspomniana część jego ciała zmieniła swój status ontologiczny i stała się częścią świata animacyjnego. Jeszcze jeden przykład to mała małpka na barku majtki, która w drugiej części przedstawienia staje się większa od swego właściciela. Natomiast burka dzikiego Queequega, który u Macieja Podstawnego, zgodnie z więcej z południa wiatrem *Zeitgeistu*, został kobietą i muzułmanką, „kurczy się” coraz bardziej, odsłaniając ubrane w rajstopy nogi. Sporo tego jest. Na brak małych reżyserskich smaczków nie mogę narzekać. Ponarzekam na coś innego.

Spektaklowi nieprzerwanie towarzyszą nagrania puszczane na rozmieszczonych po bokach ekranach telewizyjnych. To wszystko ma dodatkowo piętrzyć poziomy interpretacyjne i rozbudowywać płaszczyznę skojarzeń i odwołań. Nie zawsze jednak wiadomo po co. Pomysł na pierwszą scenę kupuję w stu procentach. Siedzący na krześle inwalidzkim Izmael, pełniący funkcję narratora (Izmael „po” tym wszystkim, co za chwilę zobaczymy i usłyszymy), z zachłannością opowiada o bezkresnym morzu, które kusi i pociąga młodego człowieka nie gorzej niż ponętna panienka. Tymczasem na ekranach widzimy powolne, skokowe, mogące wywołać atak klaustrofobii poruszanie się kamery w świecie *Google maps*. W zderzeniu z nieskończonymi możliwościami oceanu i odwagą niezbędną do wyruszenia na ich realizację, zracjonalizowana rzeczywistość GPS-ów i temu podobnych podpowiadaczy internetowych wydaje się żalonną namiastką, ochronną zasłoną, którą próbujemy się odgrodzić od „nieuporządkowanej” i „nieprzewidywalnej” przyrody. Niestety, na tym się nie kończy. Zupełnie niepotrzebnie przez następne dwie godziny, aż do znużenia, będą lecieć naturalistyczne nagrania różnego rodzaju okropieństw, których, najczęściej najzupełniej berefleksyjnie, dopuszczamy się na naszych braciach mniejszych. Przykre to i bolesne kadry, których proekologiczny wydźwięk w pełni doceniam. A jednak szczerze wątpię, że są tu na miejscu, zwłaszcza w takiej ilości.

Ostatnim nawiasem i mrugnięciem do publiczności staje się popisowy monolog-recytacja Dariusza Skowrońskiego, którego postać, pojawiająca się na początku i pod koniec spektaklu, sama w sobie jest swoistym nawiasem. Po tragicznym finale poszukiwań Ahaba występ ten zupełnie zmienia panujący na scenie nastrój. Tak, Ahab zaginął. Ale czy nie mogło to się skończyć inaczej? Czy rzeczywiście to wszystko było nieuniknione i nieodwołalne? W którym momencie w takim razie dało się zawrócić, zmienić kurs, i to nawet o 180 stopni? Wychodzi na to, że prawie w każdym. Fatalizm sytuacji był jeszcze jednym grupowym urojeniem. Cała załoga, która nieustannie wpatrywała się w horyzont, horyzontu własnych możliwości zauważyć nie potrafiła. Bo szukała wzrokiem wieloryba, a nie wyjścia z sytuacji.

„Tańcz!” – radzi Skowroński i tańczy. Nie czytaj głupich czasopism. Nie narzekaj na polityków. Ciesz się młodością i własnym ciałem. Dbaj o siebie i innych. Ale bez przesady. Nie bądź wobec siebie ani zbyt łagodny, ani zbyt surowy. Wybaczaj! Zachowaj listy miłosne i wyrzuć wyciągi z rachunków bankowych. Podpisuj się pod każdą radą i dodaj jeszcze jedną – bywaj w teatrze! A kiedy już w nim jesteś, pamiętaj, naiwność nie jest grzechem. Ani w teatrze, ani w życiu. Czasami odnoszę wrażenie, że tylko dzięki niej jeszcze możemy się uratować. Dzięki prostym, „śmiesznym” nawet w swej prostocie radom, których nikt nie chce przestrzegać. Bo nie wypada. Bo zbyt dziecinne. A właśnie że bądźmy jak dzieci, albowiem do nich należy królestwo... to ziemskie królestwo, które, być może, będzie końcem panującej obecnie w „państwie wielorybów” demokracji.

2-01-2017

Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego w Wałbrzychu

Jarosław Murawski

***Moby Dick*, czyli koniec demokracji**

reżyseria i opracowanie tekstu: Maciej Podstawny

scenografia, kostiumy, światło: Mirek Kaczmarek

muzyka: Kamil Tuszyński

przygotowanie wokalne: Ewa Gądek

wideo: Amadeusz Nosal

obsada: Angelika Cegielska, Sara Celler-Jeziarska, Karolina Krawiec, Roksana Lewak, Irena Wójcik, Włodzimierza Dyla, Michał Kosela, Rafał Kossowski, Piotr Mokrzycki, Filip Perkowski, Dariusz Skowroński, Ryszard Węgrzyn

premiera: 19.11.2016

TAGI: Maciej Podstawny, Jarosław Murawski, Wałbrzych, Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego,

Udostępnij

SKOMENTUJ

Autor

lub zaloguj się

Treść komentarza

Abypotwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

trzy plus dziesięć jako liczbę:



KOMENTARZE (0)

POWIĄZANE TEATRY

SZANIAWSKI

Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego

PRZECZYTAJ TEŻ

- 

Magda Piekarska
Szarzy ludzie, krwawy los
- 

Henryk Mazurkiewicz
Po orgii
- 

Leszek Pułka
Walkirie z wodewilu
- 

Łukasz Drewniak
K/109: Sprawy beznadziejne
- 

Henryk Mazurkiewicz
O znakach i gniewie boskim
- 

Janusz Majcherek
Szczęśliwe dni: 2 grudnia

KALENDARIUM

- 31
V
2024

Międzynarodowy Festiwal Teatralny Kontakt XXVIII edycja
- 07
VI
2024

Międzynarodowy Festiwal Sztuk Performatywnych A Part XXX edycja
- 28
VI
2024

Festiwal Sztuka Ulicy XXXI edycja

BĄDŹ NABIEŻĄCO

